

W warsztacie było dość pusto. Unosił się w nim delikatny zapach smaru, metalu, benzyny i gumy, ale były to jedynie ślady po zamierzonych czasach, magiczne opary, które po zamknięciu oczu pozwalały na podróż w przeszłość motoryzacji.

Smugi światła, wyraźnie widoczne w zapyłonym powietrzu, przecinały się i zlewały tworząc na ścianach i podłodze małe, białe kałuże. Niektóre z nich rozjaśniały dawno nieaktualne kalendarze i plakaty (głównie prezentujące typowe, warsztatowe „gołe baby”). Ich zamazane kontury i wypłowiałe barwy zostawiały pole do popisu dla wyobraźni.

Poza bezwstydnymi paniami ze ścian rozebrany był tu jeszcze gruchot Matta. Obok niego stał motorower oraz, co dość nietypowe, hulajnoga. Rob najwyraźniej nie mógł narzekać na nadmiar pracy. Matt coraz poważniej zastanawiał się nad tym z czego żyją ludzie tacy jak on. Biorą kredyty? Kradną?

W kącie siedział mężczyzna bliźniaczo podobny do mechanika. Trzymał w ręku kubek z parującą herbatą, ale sądząc po zapachu mieszał ją z rumem przynajmniej pół na pół. Popijał raz po raz uśmiechając się przy tym błogo a na każde zasłyszane słowo reagował przeczącym ruchem głowy poprzedzonym potakiwaniem. Najwyraźniej nie mógł dojść sam ze sobą do porozumienia. Rob natomiast oparł rękę o błotnik reperowanego samochodu i tłumaczył coś policjantowi.

Obecność przedstawicieli władz nie nastrajała Matta optymistycznie. Odkąd spostrzegł radiowóz zaparkowany pod warsztatem łudził się, że muszą pracować tu funkcjonariusze inni niż spotkany wczoraj dziwak. Ogromna torba pączków leżąca na siedzeniu pasażera zachwiała pewnością Matta a teraz nie miał już żadnych wątpliwości.

Troskliwy John w swej ogromnej osobie.

- Jeszcze ze trzy-cztery dni – ocenił Rob z dumą poklepując karoserię

- Ta! Prędzej mi tu kaktus wyrośnie – mruknął miłośnik rumu.

- Widzę, że wzbudziłem niezłą sensację – podsumował Matt a wszyscy znajdujący się w pomieszczeniu dopiero teraz zauważyli jego obecność - Dobrze słyszałem? Cztery dni?

- Tak jest – potwierdził skwapliwie Rob.

Matt pokiwał głową w zadumie. W tym czasie policjant, straciwszy nagle zainteresowanie samochodem, podszedł do motoroweru.

- To twojego wnuka? – spytał mechanika.

- Tak, Daniel nim jeździ. – odparł nieco zaskoczony.

- Powiedz mu żeby przestrzegał zasad ruchu. Kiedyś wlepię mu mandat, przysięgam.

- Cóż poradzisz. Młody jest, buntuje się... - wzruszył ramionami Rob.

- A wracając do pańskiego samochodu, panie Kibuvits – zmienił temat – jak widać trafił w ręce mistrza. Ma pan szczęście. Już niedługo odzyska pan pełną mobilność. Nie ma to jak wolność, co?

- Czekam z utęsknieniem – uciął Matt uśmiechając się cierpko.

Staruszek tulił z uwielbieniem trzymany w ręku kubek. Policjant uśmiechał się głupkowato jak ktoś, kto bezpodstawnie sądzi, że ma asa w rękawie. Matt starał się ze wszystkich sił ukryć niechęć jaką darzył Johna a Rob próbował wyglądać na mniej zestresowanego niż był w rzeczywistości.

Hulajnoga natomiast, mając wszystkich i wszystko gdzieś, przewróciła się z łoskotem.

Próba odbywała się w niewielkiej klitce przyklejonej do dużej weselno–dyskotekowej sali. Była to najzwyczajniejsza w świecie graciarnia, pokój, w którym pozostawiano na pastwę kurzu i zapomnienia wszystko co dawno przestało być potrzebne. Dziś jednak wysokie kolumny głośników, duże pudła wzmacniaczy, pęczki kabli i dziesiątki innych, tajemnych maszyn upodabniały ją do futurystycznej, stalowo-gumowej dżungli.

Nazwali się PROJECT X. Byli młodzi, można im wybaczyć.

Na pierwszy rzut oka nie sprawiali wrażenia przyjaznych. Mieli aparycję przyszłych, niedoszłych lub wielokrotnych kryminalistów. Poza tym wyglądali jak typowi rockmani, ich twarze, zmęczone życiem i zbyt dużymi dawkami używek mocno kontrastowały z butnymi, pełnymi energii spojrzeniami.

Na szczęście pozory tym razem myliły. Chłopcy szybko dali się poznać jako przyjaźni, otwarci i bardzo gościnni. Mimo, że Matt wcześniej nie znał żadnego a Lilly raptem dwóch oboje czuli się jak wśród paczki dobrych przyjaciół.

Bębnił Jack, zwany Bestią, człowiek posturą, fizjonomią i manierami podobny do niedźwiedzia. Gitary obsadzili Bliźniacy – Rob i Bob, rozróżnialni tylko po kolorze instrumentu. Zaszczytą rolę basisty przypadła Cichemu Mikeowi a klawisze i wszelką elektronikę obsługiwał Pete. Wokalista, Will, najbardziej z nich wszystkich gadatliwy ciągle rzucał sprośnymi żartami.

Lilly korzystając z okazji wyszła do toalety. Udawała przy tym zgorzowaną nieprzyzwoitym humorem, więc zespół pożegnał ją radosnym rechotem.

- Gracie metal, co nie? – rzucił Matt nie zważając na naiwność swojego pytania.

- Nie, gospel – szydził Pete - Ale postanowiliśmy dotrzeć do zniewolonych szatanizmem duszyczek, dlatego tak dziwnie wyglądamy....

- Mamy diabła pod skórą , nie da się tego ukryć – zaśmiał się Jack – tak samo jak tego, że próbujemy być lepsi od The Blue Dragon.

Matt uniósł brwi ale nie odważył się zadać pytania.

- Ooo, stary! – westchnął głęboko Rob - Pora na krótką lekcję historii. To lokalny zespół – wyjaśnił cierpliwie – legenda. Nie wybili się z tej dziury, ale mogli być najlepsi na świecie. Rozpadli się. Wszystko

przez ten pieprzony las...

Rob wyglądał jakby bardzo chciał ugryźć się w język. Matt coraz uważniej nadstawiał uszu.

- W sensie „Śmierć pośród drzew”, ich ostatni kawałek. Był piekielnie dobry, majstersztyk. Ale niestety pokłócili się o koncepcję artystyczną czy inne gówno i już więcej nie zegrali razem. Po dwóch świetnych płytach...

- A o czym była ta piosenka?

- Cholera wie... - mruknął Will – nie miała tekstu. Zdążyli tylko nagrać dźwięk.

- Coś mnie ominęło? – spytała Lilly wchodząc do salki.

Nikt nie spodziewał się jej powrotu. Zaskoczeni muzycy spojrzeli po sobie wyraźnie podenerwowani.

- Niewiele. Gadaliśmy o muzyce.– szybko odpowiedział Pete.

Mike puścił oko do Matta i gestem nakazał mu milczenie.

- A skoro o muzyce mowa, chłopaki, zaczynamy – rozkazał Will.

Zespół brzmiał przyzwoicie. Na rozgrzewkę zegrali kilka taktów Painkillera. Później zaczęli ćwiczyć swoje kawałki, lecz Matt i Lilly postanowili dłużej im nie przeszkadzać.

- Jak ci się podobają? – spytała.

- Są naprawdę dobrzy. Chętnie posłucham ich wieczorem.

Siedzieli na murku niedaleko świeżo rozstawionej sceny. Obserwowali z zaciekawieniem ludzi coraz gromadniej zbierających się pod barierkami. Pałaszowali kupione nieopodal lody.

-Nagadali ci pewnie dużo bzdur , he?

-Hm? – mruknął próbując nie zachłapać się uparcie topniejącym smakołykiem.

- Myślisz, że nie zauważyłam jak Mike cię ucisza? Co też ci o mnie nagadali? Mów! – naciskała pół żartem pół serio.

- Nic takiego. Rozmawialiśmy o The Blue Dragon.

- Ach. No cóż. – westchnęła i na chwilę odpłynęła myślami gdzieś daleko - Nie jestem ich zbyt wielką fanką. Ba, właściwie uważam, że to wulgarni i brutalni pseudoartyści... Wielka sława, szybki koniec. Dwóch popełniło samobójstwo, trzeci przedawkował... Jeszcze tylko wokalistę można spotkać w okolicy.

- To smutne. Podobno przed rozpadem nagrali jakiś hit...

- Nie wiem i nie chcę wiedzieć! – przerwała nieomal krzyżąc.

Była wściekła jak gdyby właśnie wyrządzono jej najbardziej podłą i wyrafinowaną krzywdę. Odwróciła wzrok a palce zacisnęła na brzegu murka tak mocno, że aż zbieleły jej knykie.

- Przepraszam ale chciałaś szczerzej odpowiedzi... - odwarknął zirytowany jej wybuchem.

- To ja przepraszam. Po prostu ich nie trawię – westchnęła szczerze skruszona.

Dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu. Po lodach zostały im już tylko papierki. Lilly beztrąsko machała nogami a Matt, wpatrzony w ziemię, walczył z myślami. W końcu przełamał się i spytał.

- Czemu nie chcesz wyjechać?

Lilly bardzo długo zastanawiała się jakiej odpowiedzi ma udzielić. Matt miał w sobie coś kojącego, wzbudzał zaufanie. Czuli się przy nim bezpieczni jednak wciąż nie potrafiła zrobić kroku naprzód. Początkowo chciała zignorować pytanie, albo zbyć je tak jak zrobiła to poprzednio, ale rosnąca w niej potrzeba otwarcia się i podzielenia z kimś swoimi zmartwieniami zwyciężyła. Lilly przełamała się i postawiła na szczerłość.

- Złe rzeczy dzieją się z ludźmi, którzy stąd wyjeżdżają – wyrzuciła z siebie niemal jednym tchem po czym utkwiała wzrok w czubkach butów.

Zapadła cisza – dla Lilly nieznośnie długa, krępująca i zwiastująca coś niedobrego. Matt myślał o dziwnym burmistrzu i jego tajemniczym płocie w środku lasu, o irytującym policjancie, o pechowych piosenkach, o uśmiechniętych twarzach mieszkańców, o strachu, który czuł przechadzając się wśród drzew. Z natury był człowiekiem podejrzliwym, ale i bez tego Rosewood wydawało mu się coraz bardziej interesujące.

- W jakim sensie złe? – spytał wciąż zamyślony.

- Wariują. Dużo plotek krąży na ten temat, ale fakty są jakie są. Ludzie, którzy na dłużej wyjechali z miasta świrowali. Niektórzy wrócili, póki jeszcze mogli i tutaj dochodzili szybko do siebie...

- I nikt nie próbował znaleźć wyjaśnienia?

- Powołano specjalną komisję. Nie znam się na ich pracy, ale przeprowadzili jakieś badania statystyczne, zebrali wszystkie możliwe materiały i opracowania na dany temat, szukali doniesień z całego świata o podobnych zdarzeniach, wreszcie gruntownie przebadali żywych poszkodowanych, odwalili kawał dobrej roboty. W raporcie podali, że to mit...

Matt pokiwał głową.

- A dokładniej – zdarzenie tak mało prawdopodobne, że aż mityczne. Zweryfikowali wszystkie doniesienia, część odrzucili jako kłamstwa i cóż, nie jesteśmy ani trochę wyjątkowi. Ci którzy wyjechali cierpieli często na szereg innych chorób, które wraz ze stresem, zmęczeniem mogły spotęgować niepożądany efekt. Właściwie nie ma powodu do obaw...

- A mimo to się boisz...

- A ty byś się nie bał? – prychnęła - Przyznaję, jestem przesadną hipochondryczką. Lepiej dmuchać na zimne. Poza tym nigdy nie lubiłam podróży, zawsze źle je znoszę, wolę siedzieć w domu. Szczególnie... Szczególnie od... pewnego zdarzenia. Naprawdę Matt, tu mi dobrze... Pięknie! - dodała a jej głos niebezpiecznie się załamał - Teraz pewnie masz mnie za histeryzującą wariatkę!

- Nie, nie mam – odparł spokojnie i nieoczekiwanie, odruchowo objął ją ramieniem – to jest twoje życie i zrobisz z nim co tylko zechcesz. Nie mogę zanegować słuszności twoich motywów, tym bardziej nie powinienem podważać zasadności twoich działań.

- Dziękuję, Matt. Po prostu dziękuję.

Matt pragnął spytać jakie zdarzenie miała na myśli, ale mając w pamięci ostateczne wydarzenie tym razem wyczuł kiedy należy przestać drażnić temat. Wolał nie sprawiać Lilly dodatkowej przykrości.

Koncert zgromadził pokaźny tłum widzów. Kilku wyglądało na przypadkowych gapiów, jednak zdecydowana większość, sądząc po pełnych entuzjazmu okrzykach, czekała na porządne, ciężkie granie. Wprawdzie dla chłopaków był to pierwszy występ w nowym składzie, ale każdy z nich, znany w mieście ze swoich muzycznych zamiłowań, zdążył zyskać grupkę fanów. Często była to rodzina lub najbliżsi przyjaciele, ale cóż, od czegoś trzeba zacząć. Każde źródło plotek i przenoszonych pocztą pantoflową informacji na starcie jest na wagę złota.

Zespół, początkowo nieco spięty i stremowany, szybko złapał rytm i grał dając z siebie wszystko. Byli szybcy, głośni i mocni a wszystkie techniczne niedociągnięcia nadrabiali charyzmą i entuzjazmem. Prostymi, chwytliwymi riffami bez trudu rozruszali widownię tak, że po pierwszej piosence nikt nie stał w miejscu.

Matt i Lilly dali się porwać szaleństwu. Skakali i tańczyli z całych sił, ramię w ramię, blisko siebie, bliżej niż było trzeba.

Tej nocy nie zagrano żadnej słabej piosenki.

Pocałowali się krótko i intensywnie. Niespecjalnie romantycznie, prawie jednocześnie złączyli swe usta oszczędzając sobie powolnego zbliżania i półprzymkniętych powiek. Zrobili to jakby była to najnaturalniejsza rzecz pod słońcem. Jakby robili to codziennie.

Ciepła noc stała się wyczuwalnie gorętsza.

Matt nie myślał. Nie mógł a przede wszystkim nie chciał tego robić.

Odprowadził Lilly do domu. Obydwoje byli szczęśliwi, choć czuli się nieco niezręcznie. Pośpiech wyraźnie ich peszył. Nie chcieli niczego zepsuć, bali się, zastanawiali, analizowali. Byli tak samo słodko głupi.

Lilly obdarzyła go już na samym progu najbardziej rozbijającym i bezbronnym uśmiechem jaki widział w życiu. Przytulił ją bardzo mocno a ona odpowiedziała tym samym. Rozstali się pełni nadziei i niepewności. Musieli coś zrobić, podjąc decyzję ale odroczyli wyrok o kilka godzin. Wyczekiwali poranka jakby był ich zbawieniem.

Dziwny, nienaturalny szum liści słyszany na puste, pozbawionej roślinności drodze jest czymś, co zwraca uwagę. Nawet po zabójczym dla uczu koncercie.

Matt, rzecz jasna, nie zauważył, że w okolicy nie ma żadnych drzew. Było na to zbyt ciemno a i on sam nie miał ochoty na podziwianie krajobrazu. Wolał jak najszybciej znaleźć się w łóżku. Nie to wzbudziło jego niepokój. Zaalarmował go obcy cień, którego koniec zobaczył przed swoimi nogami i fakt, że źródło dźwięku wyraźnie się do niego zbliżało.

Obrócił się gwałtownie. W świetle księżyca zobaczył dwie sylwetki.

Istoty wyglądały jak drzewce, dziwne człekokształtne potwory o długich, podobnych do gałęzi kończynach. Poruszały się szybko, sprawnie i cicho. Nie trzeszczały, prawie nie stukały podczas chodzenia. Szeleściły jedynie kępami liści zwisającymi z głów i korpusów.

Kiedy weszły w okrąg światła rzucanego przez latarnię zobaczył ich potwornie zdeformowane twarze.

Nie zdążył krzyknąć. Usłyszał głośnie stuknięcie, potylca odpowiedziała eksplozją bólu. Zawinął wśród gwiazd i zapadł się w miękką, ciemną poduszkę.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Rodion, dodano 26.01.2015 15:55

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.